Kraków. 12-go stycznia 1918 r.

Rok 9. Nr. 1.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ Nr. 2.

DO DZIECI.

(Z Nowym Rokiem).

Z nad gwiazdek złotych, na skrzydłach jutrzenki
Zawitał do nas rok nowy —
Z jasnem obliczem i strojny w sukienki,
Które rozdawać gotowy.
Kto czego godzien, to otrzyma w darze...
Wy dziatki czego pragniecie?
Bóg dobry szczęściem otoczyć was każe.
Lecz żyjcie dobrze na świecie.
Niech pilność, praca zdobi wasze czoło,
Te cnoty Bogu są lube —
Po pracy bywa swobodnie, wesoło,
Wytrwałość przynosi chlubę.
Niech zgoda, jedność wasze serce spaja,
Omińcie kłótnie i złości —
Miłość te cnoty rodzi i podwaja,
Więc żyjcie dziatki w jedności.
Kochajcie swoich rodziców serdecznie
Cześć im należną oddajcie,
Pod ich opieką żyjecie bezpiecznie,
Zawsze ich rady słuchajcie.
Zasiewaj dziecię w sercu ziarno cnoty,
Złego unikaj zdaleka —
Dobre uczynki plon wydadzą złoty,
Grzech każdy gubi człowieka.

Gdy cnót wszelakich otoczysz się wieńcem,
Bóg cię ukocha prawdziwie —
Będziesz najlepszą dziewczyną, młodzieńcem,
Życie popłynie szczęśliwie.

MAKI.

Dawno już dawno temu narodził się Mesyasz, Syn Boży. Zjawił się na świat w postaci drobnego Dzieciącia. Aniołowie zwiastowali Jego narodziny, bydlęta ciepłem swego oddechu stajenkę Mu grzały, królowie z odległych krain przynosili dary. Kto spojrzał na Świętą Dziecinę, umiłować ją musiał.

Lecz nikt nie kochał tak Boskiego Dzieciątka, jak Jego Matka Najświętsza. Cały dzień opiekowała się Niem, przemawiała doń słodko, a kiedy gwiazdy zabłysły na niebie, gdy do snu ułożyła małego Jezusa, Marya klękała u Jego pościółki, wpatrywała się w młodociane Oblicze i rozmyślała, jak wielką jest dobroć tego, co z rozkosznego nieba zszedł na ziemię ratować grzesznych ludzi.

I wiele takich nocy przepędziła Marya, najszczęśliwsza z matek. Wiedziała, że Syn Jej nie brudzi swego serca żadnem złem uczuciem, że ręki podłym czynem nie skala.

I dobrze było w ubogim domku.

Lecz razu jednego zachorował Jezus. Ani świętemu Józefowi narzędzi podaje, ani ulubionych kwiatków nie polewa. Rozpalone rączęta, główka zwisa na posłaniu.

Marya chłodzącą wodą okłada Jezusowe skronie. Święty Opiekun zaprzestał pracy, każdej chwili gotów na usługi. Pilnuje, żeby nic Dzieciątku spokoju nie zakłóciło. Zielone gałęzie znosi do izdebki: może chłód ich liści dobrze na Chorego podziała.

Lecz ani ziółka, ani chłodzące okłady, nic nie pomagają małemu Jezusowi.

Spojrzeli po sobie Józef i Marya. Zrozumieli, że domowe środki nie wystarczą, do sąsiedniego miasta iść trzeba po lekarstwo.

Chciał iść Józef święty, lecz Maryi się zdaje, że Ona prędzej zajdzie, że jako matka łatwiej uprosi o lekarstwo. Zostawia Dziecię na opiece świętego Józefa, a sama idzie spłakana, drżąca.

Aby prędzej! więc nie drogą podąża Marya, lecz po ugorze, gdzie drobne kamyki, kłujące osty ranią święte stopy. Nie po miękkim piasku, lecz po ostrem rżysku szybko biegnie Matka Jezusowa. I zdaje się, nie czuje, że z nóg pokaleczonych krople krwi spływają na ziemię.

Dopiero z powrotem, gdy jest blizko domu, spostrzega na polu piękne czerwone kwiaty, jakich przedtem nie było.

Na śladach krwi Najświętszej Matki wyrosły barwne maki.

Odtąd wyrastają co roku.

* * *

W historyi świętej, w katechizmie próżno szukalibyśmy wzmianki o podobnem zdarzeniu. Nie Kościół nam opowiedział, lecz wymyśliła je pobożność naszych przodków. Oni to wszędzie widzieli miłość Jezusa i Maryi. Opowiadanie takie zowie się legendą.

Takie pobożne, pełne uczucia legendy szanować i znać jest naszym obowiązkiem. Szanowali je bardzo ludzie znakomici. Największy nasz poeta, Adam Mickiewicz, przysłuchiwał im się chętnie, a nieraz zamieszczał w swoich utworach, bo odczuwał, że w nich jest zawarta myśl święta, prawdziwa i piękna. *R. M.*

MŁYNARZ I SZYNKARKA.

Dostał się pewien młynarz do piekła, a spotkawszy tam znajomą szynkarkę, pyta jej:

— Pani kumo, czy ty tu?

— Panie kumie, a i ty tutaj?

— Za cóż cię, pani kumo, tu wzięli?

— Oj! za to, żem nikomu miarki nie dolewała.

— No, patrz, pani kumo, co za niesprawiedliwość! A mnie znowu wzięli szatani za to, żem z górą brał miarę od zmielonego zboża.

Baśń o dyable Rokicie i przebiegłym chłopie.

Był sobie dyabeł psotny, Rokita, osoba znaczna i znakomita. W bagnach nad Narwią mieszkał od wieka, na utrapienie każdego człeka.

Złośliwe figle kmiotkom wciąż czynił, temu coś spsocił, temu zawinił, to się pod mostem ukrył wśród nocy, jęczy, narzeka, wzywa pomocy.

A gdy z jarmarku chłop wracający usłyszy zdala głos ten jęczący... gdy zn:jdzie z woza patrzeć, kto płacze, bies jednym susem na wózek skacze, popędza konia, gna je z kopyta, aż je ochwaci dyabeł Rokita.

Raz idzie lasem dyabeł Rokita i już ze złości zębami zgrzyta, bo dawno żadnej nie złowił duszy, więc mu Lucyper naderwał uszy.

A gdy tak idzie, patrzy, chłop siedzi, pewnie z myślami srodze się biedzi.

— Co ci to, człecze? — Rokita rzeknie — tak się rozszlochać wcale nie pięknie. Powiedz mi szczerze o trosce owej, może znajdziemy sposób jakowy.

— Trudność to będzie — chłopek odrzecze — ciężka to sprawa, dobry człowiecze. Trza mi pieniędzy, i to nie mało, takby się z dziesięć dukatów zdało.

— Dziesięć dukatów, toś to grosz mały, ja ci nasypię kapelusz cały, ale warunek postawić muszę, że za pieniądze oddasz mi duszę.

— Takiś ty bratku — chłop myśli sobie — tożeś ty dyabeł w własnej osobie.

I mówi:

— Zgoda, zgadzam się na to, kapelusz złota będzie zapłatą! A duszy waćpan niech się spodziewa, gdy wszystkie liście opadną z drzewa.

Cieszy się dyabeł z łatwej zdobyczy, a kmieć już w myśli dukaty liczy.

Na dzień następny zmówił się z biesem i w las Rokita smyrgnął obcesem.

Dnia następnego, gdy przyszła pora, chłop z kapeluszem czeka z wieczora.

Przyleciał dyabeł z workiem pieniędzy, do kapelusza sypie czemprędzej!

Wysypał jeden wór, srodze tłusty, wysypał drugi, kapelusz pusty, wysypał trzeci, wysypał czwarty, kapelusz ciągle pusty, rozwarty.

— Co się to znaczy? — myśli Rokita i ze zdziwienia za łeb się chwyta, po nowe złoto pędzi w pośpiechu.

A chłop przemyślny pęka ze śmiechu, bo z kapelusza, co jak rzeszoto, dziurami leci dyabelskie złoto, wpada do dołu, a dół nielada, zmieści się w onym złota gromada.

Powraca dyabeł obładowany, do kapelusza ciska kubany a gdy wysypał worków szeregi, wreszcie kapelusz pełny po brzegi.

— No, tom się zmachał! — Rokita powie, a pot mu ciurkiem spływa po głowie. — Jam spełnił swoje, ty spełnij swoje, przyjdę w jesieni po duszę twoję.

Zaśmiał się, świsnął, jak wół, tak ryknął, kopytem szastnął i w lesie zniknął; a kmieć poczciwy z wielką ochotą aż na trzy wozy ładuje złoto. Jeden na kościół księdzu oddaje, drugi dla biednych w mieście zostaje, sobie wóz trzeci na końcu bierze i żyje wesół, pracuje szczerze.

Czas szybko mija, przechodzi lato, zbliża się jesień z swą barwną szatą, liść więdnie, żółknie, wiatr go rozsiewa, aż wreszcie nagie zostały drzewa.

Raz, o świtaniu, kmieć siedzi sobie, wtem bies się zjawia w własnej osobie.

— Przepraszam bardzo, iż trudzić muszę, liści już niema, proszę o duszę. Wszak taka była nasza umowa, niech waść nie zwleka, dotrzyma słowa.

— Co! liści niema? — chłop z śmiechem powie — chyba waszeci całkiem źle w głowie.

I wiedzie dyabła, gdzie bór sosnowy szumi na wietrze, jak dzień majowy.

— A ta zieloność? Toć to nie drwiny? Nie nagie jeszcze owe drzewiny. I póki one w swej szacie stoją, nie przychodź wasze po duszę moją.

Podskoczył dyabeł na cztery łokcie, tupie kopytem, gryzie paznokcie, lecz trudna rada, na nic gniew ony, las sosen będzie zawsze zielony.

A w takim razie przegrał Rokita, choć to osoba tak znakomita: chłop go oszukał przemądrzałego, więc całe piekło śmieje się z niego.

SANNA.

Już od rana z nieba leci
Fala śniegu nieustanna,
W dłoń radośnie klaszczą dzieci:
„Będzie sanna, będzie sanna!"

Hej, Macieju, biegnij żywo,
Zaprząż siwka do saneczek,
Zaprząż siwka z białą grzywą
I do szyi daj dzwoneczek.

Z wiatrem pomknie koń w zawody,
Polecimy śnieżną niwą,
Zarumienią się jagody (lica),
I uderzą serca żywo!"

Sanki zaszły przed przysionek,
Szczery śmiech dziecięcy płynie,
Miesza się z nim srebrny dzwonek,
Popędzili po równinie.

ECHO.

Mały Pawełek nie wiedział, co to jest odgłos czyli echo. Biegając raz po dworze, krzyknął, potrzaskując biczykiem: Hej! Hej! — i usłyszał, jak od starego muru coś zawołało: Hej! Hej!

Chłopak się zdziwił i zawołał:

— Kto tam — A głos od muru odpowiedział: — Kto tam?

— Co ci do tego? — Głos odpowiedział: — Co ci do tego?

— Głupiś! zawołał Pawełek; głos odpowiedział mu: Głupiś!

— Ty sam! — Głos znowu powtórzył: Ty sam!

Pawełek nie mógł wkońcu wytrzymać; pobiegł do starych murów i szukał owego hardego chłopca, który śmiał ząb za ząb z nim się kłócić. Lecz ani żywej duszy nie było koło muru. Obrażony Pawełek, nawpół z płaczem poskarżył się matce, że jakiś chłopiec, w starych murach ukryty, przezywał go brzydkiemi słowami.

— Mój synu — odpowiedziała matka — zdradzasz się sam, bo przychodzisz ze skargą na siebie samego. Dowiedz się, żeś tylko swoje własne słowa słyszał, bo mury i sklepienia odbijają każdy głos i huk. Gdybyś był wołał grzecznie i przyzwoicie, odebrałbyś był odpowiedź grzeczną i przyzwoitą. Tak samo bywa i w pożyciu z ludźmi. Jeżeli z bliźnim obchodzisz się z dobrocią i uprzejmością, to takiego samego doznasz obejścia; grubjanin tylko grubjaństw spodziewać się może.

Krzyki groźby i łajanie
Złe wykazują wychowanie.

Gospodyni przyjechała.

Pewna gospodyni nie lubiła przyjmować gości. Gdy pewnego razu zajechał przed jej dom jeden z sąsiadów, schowała się za piec na drewka, a słudze kazała powiedzieć, że z domu wyjechała. Wchodzi gość i słucha, co mu sługa mówi, ale widząc wystające z za pieca nogi gospodyni, odpowie:

— To dziwna rzecz, że gospodyni twoja wyjechała z domu i zapomniała nóg zabrać.

Gospodyni usłyszała to i chowa nogi, ale zato drewka, które były wysoko ułożone, poruszyły się i wysunęły z hałasem na izbę razem z zafrasowaną srodze gospodynią. Gość patrząc na to, woła na sługę:

— Patrz, już twoja gospodyni przyjechała.

Baśń o kocie w butach.

(Dokończenie.)

„Co i zamek twój!“ — król woła,
„Ano zwiedzę go z ochotą.“
Wchodzą; błyszczy dookoła
Samo srebro, samo złoto.

Zły czarownik czekał gości,
Więc do jadła stół nakryty,
A przysmaków i słodkości
Zapas na nim był obfity.

Kot do uczty wszystkich wiedzie,
Idą razem z wielkim szykiem:
Z kotem w butach król na przedzie,
A królewna z młynarczykiem.

Król, ujęty bogactw siłą,
Widząc złoto i wieczerzę
I postawę chłopca miłą
(Bo był piękny, mówię szczerze),

Wnet zaręczył go z królewną,
A za tydzień były gody,
A na uczcie tej napewno
Było wina, jako wody.

Wtedy przyszedł kot przed króla
Mówi: „Władco daruj zdradę,
Mój pan nie jest książe Lula...
Patrzi mam lica z trwogi blade.“

Król się zrywa rozgniewany
Wściekłość jego wzrok wyraża:
„Zdrajco; któż był nim nazwany?“
„Ot chudzina, syn młynarza...

Lecz mi królu daruj winę,
Chłopiec to był pokrzywdzony
A tak dobry, że niech zginę,
Jeśli nie wart jest korony.

Bracia mienie mu zabrali,
Nędza go ścisnęła blada...
Dobroć twoją naród chwali.“
I przed królem plackiem pada.

Wtem nadeszli państwo młodzi,
Proszą: „Ojcze, nie karz kota!„
Gniew królewski się łagodzi,
Oko iskier już nie miota.

„No, daruję ci, zuchwały;
No, unikniesz głowy ścięcia,
Bo masz rozum niebywały
I mi tegoś dał mi zięcia.“

Zamieszkali państwo młodzi
Pałac, zdala dworskiej wrzawy.
Odpoczywał kot dobrodziej,
Łowiąc myszki dla zabawy.